Dodatek do Nr. 333 „Głosu Narodu“.

Kraków, 1933 r. I.

GŁOS LITERACKO-NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU“

Odrzykoń-zamek,
kolebka „Zemsty“ i „Króla zamczyska“

Krótki, a jednak ciekawy jest rodowód fredrowskiej „Zemsty“, której 100-tną rocznicę „narodzin“ winna święcić w roku bieżącym Polska cała. Nie jest ona wytworem czystej fantazji autora. Fredro zaczerpnął bowiem wątku do najlepszej bodaj ze swych komedyj z prawdziwego zdarzenia, które rozegrało się na terenie odrzykońskiego zamku. Odrzykoń natchnął również poetę Goszczyńskiego do napisania „Króla zamczyska“. Stwierdzonym jest również wpływ tego zamku na twórczość Matejki.

Zamek odrzykoński, dzisiaj właściwie już tylko jego ruiny, zajmuje jedno ze wzgórz położonych na północ od Krosna, stolicy zagłębia naftowego jasielsko - krośnieńskiego. Wzgórze, na którem stoi zamek, wysokie 452 m. ponad poziom morza, 200 metrów nad poziom okolicy, należy do pasma pagórków tworzących północną ścianę doliny rzeki Wisłok. Rzucone zdala od uczęszczanych szlaków zwaliska, otoczone wieńcem szpilkowych lasów, zachęcają przygodnego wędrowca do zapoznania się z niemi. Malowniczy widok, jaki roztacza się z pod stóp zamku, wynagradza stokrotnie trudy wycieczki. Dokoła ciągną się pasma lesistych wzgórz, na wschodnim nieboskłonie rysują się trzy przedziwnie ręką natury wyrzeźbione głazy postacie „Trzema prządkami“ zwane. W dolinie w blaskach słońca mieni się modra wstęga Wisłoka, a w dali hen ku południowi przykuwa oko widza las szybów naftowych. kopalń polskiego złota.

W najbliższej okolicy zamku, zarośniętej zrzadka krzakami głogów i ożyn, panuje grobowa powaga i cisza. Zamek dzielił się niegdyś na dwie części: na zamek wyższy, zwany inaczej grodem właściwym, i niższy czyli przygródek. Gród właściwy różnił się od przygródka czasem powstania i stylem budowy. Jeszcze dzisiaj odróżnić można renesansowe linje murów jednego od gotyku w jakim zbudowano drugi.

Najstarsze zapiski nic nie wspominają o pierwszych zaczątkach zamku. Podanie tylko mówi, że istniało tutaj słowiańskie grodzisko, zbudowane z drzewa. Drewniany gród, drzemiący cicho wśród nieprzejrzanych borów padł w czasach, kiedy w te okolice zapuścili swe zagony Tatarzy. Na zgliszczach drewnianej warowni zbudował Kazimierz Wielki zamek murowany. jako graniczną od strony Rusi strażnicę. Nazywano go wówczas Kamieńcem; nazwa Odrzykoń zjawia się znacznie później. Z biegiem czasu Kamieniec stracił znaczenie obronne zamku schodząc do roli magnackiej rezydencji. Przesunęły się przezeń potężne rody Moskorzewskich, Kamienieckich, Bonarów i innych. Moskorzewscy byli propagatorami modnej w wieku XVI na dworach szlachty polskiej herezji, socynjanizmu, odrzucającego wiarę w Trójce św.

Wiek XVII zastaje na odrzykońskim zamku dwóch właścicieli, zawadiaków kasztelana Jana Skotnickiego i Piotra z Dąbrowicy Firleya, wojewody lubelskiego. Istnienie dwóch właścicieli umożliwiał architektoniczny podział zamku na zamek niższy i wyższy. Pełne lat trzydzieści, od r. 1603 począwszy, trwają między nimi sprzeczki, zatargi, pozwy sądowe, procesy i skargi. Kłócili się o wszystko, o mur graniczny, o drogę do zamku, o kaplicę zamkową, o studnię, o wał zamkowy i t. d. Znużeni wreszcie długotrwałemi sporami zawarli ugodę, przypieczętowaną małżeństwem między wojewodzicem Piotrem Firleyem, a kasztelanką Zofją Skotnicką. W wiekach następnych zamek przechodził z rąk do rąk aż znalazł się w posiadaniu hr. Jabłonowskich i przez nich przeszedł do Fredrów. Dzisiaj podobnie jak w wieku XVII należy w połowie do rodziny Starowiejskich, w połowie zaś do Szeptyckich.

Zamek bronił się raz tylko jak mówią miejscowe podania. Było to za Jana Kazimierza. Od Węgier napadł z nienacka Rakoczy i oblegał Odrzykoń. Broniono się póki żywności i amunicji stało. Gdy posiłki nie nadchodziły, załoga opuściła zamek podziemnym chodnikiem, łączącym go z odległem o 8 km. miastem Krosnem. W 50 niespełna lat potem, zaledwo częściowo odrestaurowany, pada Odrzykoń ofiarą szwedzkiego potopu. Wtedy wybiła dla niego ostatnia godzina życia na nieubłaganym zegarze dziejowym. Lecz i wówczas los dał mu opiekuna w osobie obłąkańca Machnickiego, który pokochawszy ruiny wprost do szaleństwa, zamieszkiwał je przez lat kilkadziesiąt. Tak wygląda pobieżny rzut oka na dzieje odrzykońskiego zamczyska.

Dwu z tych dziejów wydarzeniom warto przyjrzeć się bliżej. W r. 1829 zapoznał się z zamkiem odrzykońskim ojciec komedji polskiej, Aleksander Fredro, kiedy to wśród klucza włości, wziętych w wianie za żoną znalazły się ruiny starego zamczyska. Tajemniczo sterczące ku niebu resztki murów, wywarły na poecie niezatarte wrażenie. Zaznajomił się z ich przeszłością zupełnie przypadkowo, gdy przeglądał akta dotyczace wziętego za żoną wiana. Szczególnie zainteresował go spór dwu niezgodnych sąsiadów, współwłaścicieli zamku. I spór ten wziął Fredro jako temat do swej „Zemsty“. Zmieniał jak najmniej, brał pełną garścią z tego co wieść rodowa niosła. Dowody na to mamy w „Zemście“ na każdym kroku Jej akcja, miejsce, postacie. oddane są z historyczną niemal wiernością.

W tych samych mniej więcej latach zetknął się z Odrzykoniem Seweryn Goszczyński. Był to czas kiedy chylące się ku upadkowi ruiny zamieszkiwał obłąkaniec Machnicki. Roztoczył on przed oczyma zwiedzającego zamek poety przedziwny obraz. Ruiny odrzykońskiego zamczyska — to w wyobraźni Machnickiego — powalona, zakuta wówczas w kajdany Polska. Jak ząb czasu, wróg zamku nadgryzł tylko jego mury, fundamentów nie tknał, tak zaborcy postąpili z Polską. Runęły mury gmachu Rzeczypospolitej, pozostały jednak niezepsute fundamenty, zdrowy lud polski, na którym przyszłe pokolenia odbudują Polskę. Tak wierzył, tak mówił Machnicki. Poeta oczarowany piękną alegorją, zakuł ją w poemat „Król zamczyska“.

Nie na tem jednak kończy się wpływ Odrzykońskiego zamku. Obok ludzi pióra Fredry i Goszczyńskiego, nie mniej silnie przemówiły tajemnicze ruiny do wyobraźni i serca wielkiego Matejki. Zwiedzał on w swej młodości Odrzykoń i znał poemat Goszczyńskiego, czego dowodzą odpowiednie szkice. Stąd to uwieczniony w poemacie „Król zamczyska“ Goszczyńskiego, obłąkaniec Machnicki, posłużył mu jako wzór postaci Stańczyka, w rozlicznych obrazach historycznych.

Do naszych czasów zachowało się z odrzykońskiego zamku niewiele. Sterczące ku niebu dwupiętrowe ściany, stojąca na uboczu baszta, resztki obronnego muru, kilka dobrze zachowanych framug okiennych, kropielnica, ślad po wejściu do kaplicy, stylowe przejście z zamku niższego do wyższego — to wszystko, — z czasów zaś nowszych w pośrodku ruin pomnik z popiersiem Kościuszki. Wznosząca się ku niebu postać narodowego bohatera nabiera tutaj w otoczeniu walących się w gruzy murów średniowiecznego zamczyska znaczenia symbolicznego. Bo czyż walący się zamek nie przypomina Polski z czasów rozbiorów, a kamienna postać bohatera czyż nie jest wierną podobizna tego, który starał się ze wszelkich sił zapobiec katastrofie.

Odrzykoński zamek podzielił los smutny tylu polskich warowni kresowych. Społeczeństwo polskie powinno jednak nie zapominać, że należy on do tych nielicznych pomników naszej przeszłości, które obok roli historycznej, większą może rolę odegrały w literaturze polskiej i malarstwie, dając natchnienie do takich dzieł jak fredrowska „Zemsta“, Goszczyńskiego „Król zamczyska“, oraz postaci Stańczyka w obrazach Matejki. Słusznie przeto zasłużył sobie na żywsze niż dotychczas zainteresowanie ogółu.

Aleksander Kołek

Polacy a Komuna Paryska

Upadek powstania styczniowego spowodował silny napływ emigrantów do krajów zachodniej Europy — a szczególnie do Francji, której stolica była już od przeszło lat trzydziestu główną siedzibą polskiej emigracji politycznej.

Mimo doznanego ze strony Francji zawodu nie wygasł w Polakach kult dla ideji napoleońskiej, której niefortunnym wyrazicielem był ówczesny władca Francji — Napoleon III.

Naprzekór zapewnieniom Napoleona III-go i jego rządu, że „cesarstwo — to pokój“,[1]) — społeczeństwo polskie na emigracji było przekonane, że cesarz dla utrzymania swego prestiżu musi prowadzić dalsze wojny wyzwoleńcze — a tylko taka wojna mogła postawić znów na porządek dzienny sprawę polską.

Liczny napływ emigrantów wytłumaczyć można również względami materjalnemi, gdyż rząd cesarski wspierał dość wydatnie zarówno samych emigrantów, jak i polskie instytucje kulturalne we Francji.[2])

Ogół społeczeństwa francuskiego, a zwłaszcza liberalna opozycja żywiła dla Polaków szczerą sympatję, którą manifestowano niejednokrotnie w sposób bardzo impulsywny.[3])

Wybuch wojny francusko - niemieckiej zaskoczył społeczeństwo polskie, które nie było zgoła przygotowane na tego rodzaju obrót rzeczy, a niebywałą katastrofę świetnej armji francuskiej uważało za nieszczęście narodowe polskie.

Natychmiast po wybuchu wojny zgłosili się do rządu cesarskiego przedstawiciele emigracji polskiej[4]) z prośbą o utworzenie legjonu polskiego, lecz zarówno rząd Napoleona jak i rząd republikański w osobie Adolfa Thiersa nie zgodził się pod żadnym pozorem na utworzenie takiej formacji, nie chcąc narażać się Rosji.

Jedną z pierwszych czynności Thiersa było nawiązanie przyjaznych stosunków z Rosją i zapewnienie ks. Gorczakowa, ówczesnego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, że Republika francuska będzie obok zaprzyjaźnionych już z Rosją Stanów Ziednoczonych A. P. — najlepszą przyjaciółką.[5])

Mimo tego nieprzyjaznego obrotu rzeczy Polacy bardzo licznie pospieszyli w szeregi francuskie i odznaczyli się wybitnie w obronie Paryża, w bitwie pod Orleanem i w wielu innych.

Klęska militarna Francji napoleoń-

1) Słynne powiedzenie cesarza „L'empire c'est la paix“.

2) Wł. Mickiewicz — „Emigracja polska“ str. 3 i inne.

3) Świadczyć może o tem choćby postawa ludności paryskiej w czasie wizyty ces. Aleksandra II w r. 1867 i słynny okrzyk adwokata Floqueta: „Vive la Pologne Monsieur“, za który zresztą mieli kiedyś Francuzi gorzko żałować. —

4) Mickiewicz Wł. Pamiętniki T. III. str. 15.

5) Thiers — „Notes et souvenirs“ str. 18.

skiej i powstanie w dniu 18 marca 1871 rewolucyjnej Komuny w Paryżu sprawiły, że ta ostatnia wydawała się wielu Polakom ostatnią deską ratunku. Wierzono bowiem powszechnie, że Komuna przejmie tradycje wielkiej rewolucji francuskiej i, jak tamta, tchnie nowego ducha w zniechęcone i przybite klęską masy francuskiego społeczeństwa. Komuna tymczasem mimo głoszonych pompatycznych haseł daleka była od orężnej rozprawy z Niemcami a naśladowała wielką rewolucję tylko w tem, co tamta miała najgorszego, t. j. w terrorze. Ciasne doktrynerstwo i brak zrozumienia aktualnej rzeczywistości Centralnego Komitetu naczelnej władzy Komuny graniczyło prawie z polityczną głupotą, co stwierdzają nawet tacy apologeci Komuny jak Mendelson.[7])

Gdy więc rewolucja komunistyczna przybierała coraz więcej charakter skrajnie klasowy i socjalistyczny, — Polacy nie powinni byli absolutnie w tym wypadku angażować się po stronie Komuny tem bardziej, że była ona robiona w oczach i za poparciem zwycięskiego wroga. Słusznie też opinja francuska nie przebaczyła Polakom tego nietaktu i surowo ich ukarała za okazaną niewdzięczność.

Komitet Centralny, w którym z czasem coraz bardziej brały górę jednostki skrajnie radykalne i warcholskie, patrzył bardzo życzliwie na liczny napływ Polaków w szeregi Komuny, gdyż Polacy swcją ideowością i wykształceniem górowali nad niesforną zbieraniną, z jakiej rekrutowała się po większej części ówczesna gwardja narodowa. Oficerowie Polacy zajęli wnet najwybitniejsze stanowiska wojskowe a Komitet Centralny popierał tę supremację cudzoziemców niedowierzając wybitniejszym oficerom francuskim, wietrząc w nich nowych Napoleonów,[8]) niebezpiecznych dla rozwoju rewolucji. Cudzoziemscy wojskowi,[9]) których wówczas w Paryżu nie brakowało, jako nie związani żadnymi interesami z miejscową ludnością, wydawali się Komitetowi bardziej pewnymi niż tubylcy.

Wśród Polaków, którzy odznaczyli się w szeregach Komuny, wysuwa się na pierwszy plan Jarosław Dąbrowski, żołnierz dzielny i pełen brawury, choć politycznie wyklejony, jak większość emigrantów z r. 1863 we Francji. Były oficer rosyjski i garibaldczyk odznaczał się wybitnie wśród generałów Komuny głęboką wiedzą wojskową i żołnierską karnością.[10])

Dąbrowski bez trudu uzyskał rangę „generała" wojsk Komuny i powierzono mu dowództwo odcinka między „Point du Jour" a „Saint Quen". Na tym odcinku znajdowała się słynna brama Neuilly, o którą staczano przez cały czas zacięte walki. Mianowany „delegowanym do wojny"[11]) na miejsce niedołężnego Aussereta, nadaremnie usiłował zorganizować rozprzężone szeregi komunistów. Widząc, że wszystko stracone, staje w szeregach walczących i bierze udział w krwawych zmaganiach o Auteuil, z którego udaje mu się wkońcu wyprzeć Wersalczyków. Dnia 23 maja ginie Dąbrowski, w przeddzień zupełnego upadku Komuny, walcząc w okolicy Monmartru.[12])

Drugim Polakiem, który odznaczył się w wojsku Komuny był „generał" Walerian Wróblewski. W przeciwieństwie do Dąbrowskiego nie posiadał on fachowego wykształcenia wojskowego a miał za sobą jedynie doświadczenie z powstania w r. 1863, w czasie którego był naczelnikiem wojennym województwa grodzieńskiego. Wróblewski będąc w czasie Komuny dowódcą lewego brzegu Sekwany odznaczył się zwłaszcza w walkach o fort Vauves, który już zdobyty przez Wersalczyków, — odebrał z ich rąk kontratakiem. Również wiele osobistej odwagi okazał Wróblewski w czasie walk o fort Issy.

Po zdobyciu Paryża przez Wersalczyków zdołał Wróblewski ujść z rąk rozpasanych zdobywców, uciekł szczęśliwie do Anglji, gdzie przez dłuższy czas przebywał.

Natomiast trzeci „generał" Komuny, Roman Czarnowski, b. pułkownik wojsk polskich z r. 1831, z powodu podeszłego wieku nie brał czynnego udziału w walkach i był tylko komendantem szkoły wojskowej.

Prócz tych wyżej wymienionych ważniejszych osobistości służył w wojskach Komuny cały szereg Polaków, których liczbę Wł. Mickiewicz[13]) oblicza na 200. Wśród nich wymienić należy porucznika armji franc. Każdańskiego, Okołowicza,[14]) Teofila Dąbrowskiego[15]), pułkownika przy sztabie gen. Komuny, Wołowskiego, pułk. Aleksandra Matuszewicza i wielu innych.

Jeżeli sama Komuna paryska była dla społeczeństwa krwawym eksperymentem doktrynerów tem podlejszym, że dziejącym się w oczach zwycięskich Prusaków, to liczny w niej udział cudzoziemców — tem bardziej podniecał oburzenie Francuzów. Gdy więc przezorny Thiers pozwoliwszy przez dwa miesiące „wyżywać się" komunistom — przystąpił w maju do zgniecenia rebelji, — wściekłość żołnierzy zwracała się w pierwszym rzędzie przeciwko cudzoziemcom — a zwłaszcza Polakom.

Wrogą opinję wytwarzała przedewszystkiem prasa prawicowa, która wręcz nawoływała do rozstrzeliwania wszystkich cudzoziemców, złapanych z bronią w ręku. Z drugiej zaś strony komunardzi bestjalskiem mordowaniem zakładników i barbarzyńskiem niszczeniem zabytków sztuki sami skazywali się na traktowanie siebie jak bandy zbuntowanego motłochu.

Dowódca sił zbrojnych markiz de Galliffet surowo pacyfikował zbuntowany Paryż. Złapanych z bronią w ręku rozstrzeliwano przeważnie na miejscu[16]) nie bawiąc się nawet czasami w komedję sądu wojennego. Żołnierze Wersalu, którzy w większej mierze przeżyli hańbę klęski i niewoli, nie znali litości wobec tych, którzy chcieli wykorzystać niemoc ojczyzny dla partyjnych interesów i rozgrywek. Około 25.000 ludzi zostało rozstrzelanych a drugie tyle zostało internowanych w osławionym obozie koncentracyjnym w Sartory.[17])

Jeżeli w ten sposób obchodzono się z Francuzami, to cudzoziemcom nie dawano wogóle pardonu. Wściekłość Wersalczyków przeciw Polakom była tak wielka, że wystarczyło przyznać, że jest się Polakiem, to dla żołnierzy był już wystarczający powód, by takiego osobnika natychmiast rozstrzelać. Tak naprzykład na podstawie fałszywego oskarżenia rozstrzelano bez sądu dwóch Polaków, Dalewskiego i Wernickiego za to, że rzekomo strzelali do wkraczających Wersalczyków, — tymczasem byli to ludzie zupełnie niewinni a Dalewski z chwilą wybuchu Komuny wystąpił z gwardji narodowej nie chcąc się mieszać w wewnętrzne spory Francuzów. Przyjaciel Dalewskiego, emigrant z r. 1863, Michał Dowgiełło, który również wystąpił z gwardji narodowej po wypadkach 18 marca, przyszedł do domu Dalewskiego przy ul. Tournon, by wypytać się stróżki o powody śmierci swego kolegi. Przechodzący oficer na czele patrolu posłyszał, że jest rozmowa o Polakach — zapytał się stróżki co to za jeden a gdy niebaczna kobiecina powiedziała, że to przyjaciel rozstrzelanych Polaków — oficer rozkazał żołnierzom zabrać Dowgiełłę, którego rozstrzelano natychmiast w pobliskim ogrodzie luksemburskim.

Przykładów podobnego okrucieństwa można znaleźć bardzo dużo w pamiętnikach z tego czasu, — przytoczyłem tylko parę dla lepszego zilustrowania metod okrutnych zwycięzców. Szczególnie odznaczył się w prześladowaniu Polaków komendant drugiego korpusu gen. de Cissey, który skazywał na śmierć zupełnie niewinnych ludzi. Między innymi rozstrzelano na rozkaz de Cissey'a dwóch emigrantów z roku 1831. Rozwadowskiego i Szweycera za to, że ci mieli rzekomo dawać sygnały komunardom za pomocą maszynki spirytusowej. Tymczasem staruszkowie, z których jeden złożony był niemocą, gotowali sobie na tej maszynce strawę nie przeczuwając, że ten instrument będzie powodem ich śmierci. Wł. Mickiewicz, syn poety, który w III. tomie swych pamiętników bardzo wiele miejsca poświęca okrucieństwom Wersalczyków, uratował życie tylko dzięki temu, że przezornie uciekł z Paryża na parę dni przed zgnieceniem Komuny.

Represja zwycięskiego rządu Thiersa była okrutna i krwawa, ale też może dzięki niej nie było we Francji do dziś dnia mimo słabości ustawicznie zmieniających się gabinetów, — żadnego zamachu stanu czy jakiejkolwiek innej próby usunięcia przemocą prawowitego rządu.

Dla Polaków ta krwawa kąpiel była nauczką, by nie mieszać się w wewnętrzne spory narodu, który mu w nieszczęściu okazał tyle życzliwości i sympatji. Udział Polaków w Komunie stał się na długie lata przyczyną jawnej niechęci, jaka do wojny światowej żywił do nas ogół społeczeństwa francuskiego.

Polska będąca do roku 1870 symbolem tragicznego bohaterstwa, — stała się po Komunie we Francji otwarcie znienawidzoną i zupełnie bezużyteczną, natomiast sympatje Francuzów zaczęły coraz bardziej kierować się w stronę Rosji, która miała być zbawienną sojuszniczką przeciwko Niemcom.

Tak więc brak orjentacji politycznej i źle pojęta chęć walki za cudzą wolność w większej części naszych emigrantów we Francji sprawiły, że straciliśmy sympatje narodu, który był nam tak bardzo oddany i pomocny. Trzeba było dopiero uciążliwej pracy wielu ludzi i pokoleń, by te uprzedzenia i wzajemne niechęci usunąć a nadwątloną wypadkami paryskimi przyjaźń odnowić i umocnić.

Zbigniew Cieklińskí

6) Osławione hasło Komuny: „Ani piędzi ziemi ani jednej „cegły fortu".

7) St. Mendelson: „Historja ruchu komunistycznego" str. 186 i i.

8) Mendelson — Op. cit. str. 295.

9) Obok Polaków było wielu Włochów, Hiszpanów, Węgrów — i jak zwykle Żydów.

10) Zalety te przyznaje Dąbrowskiemu nawet niechętny mu Hanotaux „Histoire" T. I.

11) t. j. ministrem wojny

12) Na barykadzie przy ul. Myrrah.

13) W. Mickiewicz: Pamiętniki T. III. Warszawa 1933.

14) Został rozstrzelany po zdobyciu przez Wersalczyków fortu Vincennes.

15) Rodzony brat Jarosława.

16) Między innymi zginęli przewódcy Komuny Delescluze i Rossel.

17) Milewski: Siedemdziesiąt lat wspomnień 1855 — 925 str. 97.

Instytut Pasteura

Śmierć dwóch uczonych francuskich Emila Roux'a i Alberta Calmette'a, z których pierwszy był dyrektorem instytutu Pasteur'a, a drugi był przewidywany przez pierwszego na swego następcę — stwarza okazję do zdania sobie sprawy, czem jest ta wielka instytucja naukowo-badawcza, w której obaj pracowali. Właściwie to nie może chodzić o wyjaśnienie, czem jest instytut Pasteur'a, bo o tem wie na całym niemal świecie szeroka inteligentna publiczność, lecz o dowiedzenie się czegoś bliższego o jego powstaniu, rozwoju i obecnym stanie, rozmiarach oraz znaczeniu. Sposobność pomówienia o tem nadarza się tem większa, iż 14 listopada minęło 45 lat od założenia instytu Pasteur'a.

Gdy Pasteur powiadomił świat naukowy o sukcesach osiągniętych w zakresie szczepienia przeciw wściekliźnie, otrzymał kilka prywatnych dotacyj celem zorganizowania instytucji, gdzieby jego cudowna metoda była stosowana. Dotacje te były niewystarczające. To też w r. 1886 francuska Akademja Umiejętności wyraziła życzenie, że powinien być stworzony w tym celu specjalny instytut, któryby nosił miano Pasteurowskiego. Środki finansowe miały pochodzić ze subskrypcji międzynarodowej, której sukces był zgóry zapewniony dzięki rozgłosowi i entuzjazmowi, jaki wynalazek Pasteura wywołał w całym świecie. I istotnie pieniądze płynęły zewsząd. Wogóle subskrypcja dała 2 i pół miljona franków zł.

Przy ulicy Dutot zakupiono 11 tysięcy metrów kwadratowych terenu w jednym kawałku wśród ogrodów warzywnych. Niedługo na miejscu, gdzie mieściły się szklane inspekta i rosły różnorodne sałaty wzniesiono wielką budowlę z fasadą Ludwika XIII. Wyznaczono instytutowi Pasteur'a trzy zadania: był on internatem dla leczenia chorych zarażonych wścieklizną, był centrem studjów nad chorobami zakaźnemi, był wreszcie ośrodkiem nauczania. Te potrójne zadania instytutu Pasteur'a pozostały do dziś dnia, tylko że olbrzymio się rozrosły.

Gdy zakładano instytut, to miano na myśli samego Pasteur'a: chciano mu stworzyć teren, gdzieby jego metody były śledzone, stosowane i rozwijane. Jednak Pasteur już był u schyłku swoich sił. To też jego współpracownikom i jego uczniom przypadło w udziale pójść bardzo daleko po drodze, aż do niego zupełnie nieznanej.

Pierwsza falanga jego współpracowników obejmowała pięć nazwisk. Dziś już żaden z nich nie żyje: Duclaux uczył chemji biologicznej, Roux prowadził kurs mikrobiologji technicznej, Chamberland kierował oddziałem szczepień przeciw karbunkułowi, Miecznikow zarządzał laboratorjum badań, wreszcie Grancher miał sobie powierzony dział leczenia wścieklizny.

* * *

Koszty połączone z wybudowa-

niem gmachu instytutu i jego wyposażeniem i uruchomieniem wyniosły półtora miljona. Pozostawał tedy miljon na utrzymanie, a następie instytut utrzymywał się ze sprzedaży krowianek i surowic. Nadto liczono na legaty.

* * *

Dziś po 45 latach Instytut Pasteur'a posiada 65 laboratorjów, w miejsce pierwotnych czterech. Jest w nim 70 szefów poszczególnych działów; połowa z tych szefów nosi tytuł profesorów. Jest olbrzymia ilość uczniów. Rzecz naturalna, że pierwotne budowle nie wystarczyły. Przybyły liczne nowe dobudowie, niektóre bardzo znacznych rozmiarów. Odkrycia z zakresu seroterapji poczyniono przez prof. Roux uczyniły koniecznem pobudowanie stajni na 400 koni, dostarczycieli serum. Z drugiej strony ulicy Dufot wzniesiono dzięki dotacji prywatnej gmach chemji biologicznej, przy samym zaś instytucie, także dzięki ofiarności prywatnej (jednej osoby) powstał szpital Pasteur'a, przeznaczony dla chorób zakaźnych.

* * *

Jakie odkrycia naukowe wyszły z instytutu Pasteur'a. Rzecz ta jest nie łatwa do ustalenia, bo niektóre z wynalazków zostały dokonane przez współpracowników instytutu, w jego obrębie, a inne przez jego wychowanków i uczniów, rozsianych po całym świecie. Wystarczy gdy się wymieni wogóle odkrycia i wynalazki na drodze wskazanej przez Pasteur'a. A więc pokonanie zakażeń zwykłych, wynikłych z nieczystego utrzymania ran i zakażeń chirurgicznych, środki antyseptyczne i aseptyczne, triumf nad karbunkulem, cholerą i wścieklizną. To był początek triumfalny. A następnie zwycięstwo odniesione w walce z dyfterytem i tężcem, z kolei zapalenie opon mózgowych i gorączka tyfoidalna zaczęły się poddawać. Gruźlica bardzo silnie zaatakowana, zatrucie również.

Z kolei wskazać należy na odkrycia z zakresu weterynarji, fermentacji, podstaw naukowych rolnictwa.

* * *

Gdy się weźmie pod uwagę powyższe zadania Instytutu Pasteur'a, nie można się dziwić, że jego działy są szeroko rozbudowane Dla każdej choroby zakaźnej, dla każdego badania, które się zaczyna, należało stworzyć specjalne instalacje, wychować i wykształcić specjalistów, udoskonalić środki i narzędzia. Istnieją tedy oddziały: wścieklizny, gruźlicy, fermentacyj, cholery, syfilisu i t. d. Nadto fungują laboratorja chemji i fizyki biologicznej, mikrobiologji ogólnej, entomologji, które stanowią niejako podstawę wspaniałego gmachu ochrony zdrowia ludzkiego.

* * *

Oprócz prac odkrywczych, oprócz prac praktycznych, jak osławiona produkcja środków leczniczych i zapobiegawczych, surowic i szczepionek prowadzona jest w Instytucie Pasteur'a praca nauczania. Ze wszystkich krajów napływają uczący się, starsi i młodzi. Zwłaszcza lekcje mikrobiologji i prace praktyczne gromadzą badaczy i uczonych.

* * *

Jako ostatnią z dziedzin działalności Instytutu Pasteur'a wymienić należy jego ekspedycje, kierowane tam, gdzie wybuchł płomień zarazy. Ekspedycje te i podejmują badania odkrywcze i organizują pomoc dla cierpiących.

W.

Czy jesteśmy mniej muzykalni

Obserwacja powierzchowna, łatwo w oczy wpadających przejawów codziennego życia wskazuje na pewne symptomy niepokojące, związane z naszem muzycznem życiem. Koncerty muzyczne, nawet najświetniejszych gwiazd europejskich, nie cieszą się zadawalającą frekwencją publiczności opery zamknięte lub heroicznie się borykające z ustawicznym brakiem środków na egzystencję, zespoły symfoniczne zaledwie wegetują, ilość uczniów w szkołach muzycznych przerzedza się, bezrobocie wśród zawodowych muzyków wzrasta stopniowo, ilość sprzedanych fortepianów czy innych instrumentów muzycznych maleje w dużym stopniu. I oto z tych przesłanek rodzi się powierzchowna konkluzja — człowiek dzisiejszy głęboko zastanawiać się nie ma czasu nad grożącym czy już istniejącym zanikiem życia muzycznego, nad przeżyciem się tego czy innego gatunku muzycznego, a może całej muzyki. Przeciętny człowiek kulturalny nie wgłębia się w zakamarki życia muzycznego, nie zna dokładnie jego stanu, więc nic dziwnego, że nastraja się pesymistycznie, nieraz pod suggestją otoczenia. Bo czyż istotnie dzisiejsze pokolenie, na którego barki spadają setki udręczeń życiowych, jest mniej muzykalne niż poprzednie, czyż nowe, a właściwie niecałkiem nowe życie, przebudowało psychikę ludzką w kierunku ujemnym dla muzyki i jej przejawów artystycznych?

Nowy pęd życia powojennego, robiący z początku wrażenie żywiołowego, porwał w swoje kłębiące się wiry narody europejskie. Wydawało się, że to wszystko, na czem gruntowały się dawne dogmaty i prawa, zapadnie się całkowicie w przepaść przeżytków, że na świeżych ruinach dawnego życia pocznie kiełkować coś zupełnie w swej postaci i treści nowego. Mieliśmy wszyscy daleko idące złudzenia. Dzisiaj fermenty światoburcze cichną, burze przeszły lub przechodzą jeszcze z coraz więcej słabnącą nawałnością, — odnosi się wrażenie, że jak po potopie dawna wraca postać świata. Dawna, ale niezupełnie ta sama, jest w niej coś nowego, co pozostanie. I psychika ludzka zaczerpnęła z tego nowego nurtu życia nowe zabarwienie. Ustawiczna zmienność zawrotnie pędzących wypadków, nieprzerwany pochód nowych zupełnie, fenomenalnych wynalazków, szybki pęd niepowrotnych zmian bezpośredniego otoczenia, uczyniły umysł ludzki lotnym, harmonizującym z wartką falą otaczających zjawisk. Mówi się powszechnie, że żyjemy w czasach nerwowych, że sami stajemy się nerwowi. Jest w tem niewątpliwie dużo słuszności. Pęd życia unosi nas ustawicznie naprzód, nie pozwala spocząć na niczem dłużej, przylgnąć do czegoś, darzy nas zda się niewyczerpaną nowością, którą chłonąć musimy. Może kiedyś i tu nastąpi stabilizacja.

Jakże to wyposażenie umysłu ludzkiego przez życie w np. nerwowości (nazwijmy go tak) zaciężyło nad naszem (analogicznie i zagranicznem) powojennem życiem muzycznem? Zainteresowanie muzyką w porównaniu z przedwojennem wzrosło do rozmiarów dotąd niebywałych, które, dodajmy, granic idealnych dotąd nie osiągły. Muzyka mechaniczna uprzystępniła w wysokim stopniu zaspokojenie tak prymitywnych, jak i artystycznych potrzeb muzycznych, — pozyskała dla muzyki nowe rzesze słuchaczy w ilościach dotąd nieznanych, które wysubtelniają swój gust. Faworytką stała się muzyka lekka, zwłaszcza taneczna, bo przydatność jej miała najwięcej walorów. Popularyzacja utworów, zwłaszcza lekkich, dokonywa się z zawrotną szybkością, ale w konsekwencji tego żywotność ich, okres życia skrócił się niezmiernie; po kilkutygodniowym czy kilkumiesięcznym okresie sukcesów nawet najpopularniejsze „szlagiery" przeżywają się. Stąd ustawiczna potrzeba zaspokojenia zainteresowania, stąd ustawiczny pochód nowości, ustawiczny przymus ich dostarczania, co na twórczość wpłynęło podniecająco. I utwory poważnej muzyki noszą piętno dzisiejszych czasów, dostrajają się do epoki. Zainteresowanie się niemi, nagół biorąc, jest daleko więcej niż przedtem, popularyzacja szybka przy pomocy głównie muzyki mechanicznej, żywot nowości stosunkowo bardzo krótki, nic na dłuższy czas nie osiada, pochód naprzód w twórczości spotęgowanej.

A więc zainteresowanie się muzyką, — co każdy może stwierdzić, zatoczyło szersze kręgi niż przed wojną, wzrosło niepomiernie, a nowe wymgaania psychiki ludzkiej wywarły dodatni wpływ na wzmożenie się twórczości. Czyżby idealne czasy dla muzyki? Czasy kultu muzyki? Czemuż te słowa „kult muzyki" nie obijają się na każdym kroku o nasze uszy, a raczej dochodzą skargi na upadek muzyki? Jest i tego przyczyna.

Umysł dzisiejszy, porwany w wartki bieg życia nie ma czasu, a może już zatracił dawne nastawienie, głębsze wniknięcie w przejawy życia: dla przeciętnego umysłu, — to bezprodukcyjne niszczenie energji, to sprawa specjalistów, którzy z zamiłowania temu służą i do tego umysł swój wykształcili. Także dla zjawisk muzycznych człowiek zatracił, czy do minimum ograniczył analizę zwłaszcza, że poszły one w swym rozwoju tak daleko, że zrozumienie ich dokładne wymagałoby specjalnych, nieraz długoletnich studjów.

Może być, że nie bez winy są i sami muzycy, że ten pochód muzyki wzwyż nie szedł w parze z przygotowaniem muzycznem słuchaczy, kształceniem ich. Jakkolwiek do pewnego stopnia muzyka stara się dostosować do wymagań chwili, dzieło jednak naprawdę artystyczne, zawsze mieści w sobie tajemnice, niełatwo uchwytne. Stąd płytkość naszego zainteresowania muzycznego i tem różnimy się od pokolenia przedwojennego, które wnikało, mądrze wszystko analizowało, bo i pochód nowości nie był tak szybki. Ta płytkość wykopała głęboką przepaść między utworem a słuchaczem. Można i powinno się tę przepaść niwelować przez bardzo szczegółową, odpowiednio dostępną i spopularyzowaną analizę nowych utworów.

A więc konkluzja: zainteresowanie muzyczne naogół wzrosło niepomiernie, natomiast głębia ustosunkowania się słuchacza do utworu zmalała do minimum — i to stwarza pozory zaniku życia muzycznego.

Dr. STANISŁAW ZETOWSKI

Książki dla młodzieży

Nakładem **„Bibljoteki książek błękitnych"**, ukazały się ostatnio następujące tomiki:

Helena Duninówna: „Jadwiga królowa Polski". Dzieje życia wielkiej królowej, i zwyczaje oraz obyczaje jej epoki, opisane ze ścisłością historyczną w formie powieściowej, miłej i łatwej. Okładka Wandy Woycickiej, w tekście liczne ilustracje.

Stefanja Jerwiczowa: „Tajemnica starego gobelinu". Przeżycia dziewczynki, obdarzonej gorącem sercem i szlachetną duszą od najwcześniejszego dzieciństwa, do młodości, przypadającej na lata wielkiej wojny, są zajmującą lekturą nietylko dla dzieci ale i dla dorosłych. Okładka Ksawerego Koźmińskiego. Ilustracje Jadwigi Przeradzkiej.

Dr. Marja A. J. Lewicka: „Jak Jasiek Mizera zdobywał swój świat". Leniwy chłopak, idzie bezmyślnie drogą szarą dni" powszednich. Spotyka bohaterski oddział saperów i jego dowódcę. Walka saperów z żywiołem powodzi, budzi w chłopaku pragnienie rzeczy wielkich. Mizera staje się najlepszym uczniem, rozumiejącym radość wiedzy i nauki, potrzebę oddania życia w służbie Ojczyzny. Książka napisana doskonale. Okładka Molly Bukowskiej.

Dla najmłodszych: **„Bibljoteka książek różowych"**, wydała przed świętami następujące książeczki: **Anna Lewicka: „Koże drzewko".** Szereg króciutkich znakomitych opowiadań z życia dzieci i lasu. Nazwisko autorki jest najlepszą oceną książki.

Kwiecińska Alina: „Dzieciaki". Szereg zabawnych, niesłychanych przygód siedmiorga dzieci, spędzających wakacje na wsi u wuja proboszcza napisanych wesoło, prosto i zajmująco. Ilustracje Józefa Karolkiewicza.

Wanda Wasilewska: „Goście z całego świata". Dzieje ziarnka kawy, ryżu, listków herbaty, cytryny i sardynek przemieniających się w dzieci różnych ras i krajów, pracujących przy uprawie zbiorze lub połowie stanowią pierwszą część zajmującej książeczki. Drugą część stanowią podróże dziewczynki i krasnoludka, dzieje nitki jedwabiu i lnu, kropelki wody. Książeczka miła i zajmująca. Ilustracje Zofji Woynianki.

„Bibljoteka błękitna" zapowiada na grudzień „Wieczory wigilijne", znakomitej autorki dla młodzieży, Anny Lewickiej.

Czarna koszula zamiast togi

Przed kilku tygodniami sekretarz partji faszystowskiej Starace rozesłał do rektorów wyższych szkół włoskich okólnik, nakazujący profesorom i studentom występowanie podczas uroczystości uniwersyteckich i egzaminów w czarnych koszulach. Profesorom wolno na razie nosić je pod togami, studenci mają występować w samej koszuli. Zarządzenie weszło już w użycie, np. podczas egzaminów w Instytucie Ekonomiczno-handlowym w Turynie i w Wyższej Szkole Budownictwa w temże mieście.

W pogoni za oryginalnością

Eksperymenty powieściowe Wirginji Woolf

Rodzaje literackie miewają swe okresy supremacji i niema wątpliwości, że od lat setki mniej więcej panuje nam najmiłościwiej powieść — myślę o literaturze światowej, w polskiej przyszedł ten stan rzeczy z pięćdziesięcioletniem opóźnieniem. Obfitość twórczości na tem polu powoduje coraz większą trudność zabłyśnięcia czemś oryginalnem. Dawniej radzono sobie pogonią za coraz nowemi tematami i tłami oraz wyborem form opowiadania (w pierwszej osobie, w listach, przez człowieka, który zna tylko część wypadków, a resztę musi uzupełnić domysłami, przez człowieka, który fałszywie ocenia postaci, przez kilka osób i t. p.). Dziś już to nie wystarcza, na każdym kroku czyha zarzut naśladownictwa.

Nic sobie z niego nie robią ludzie, piszący wyłącznie lub przedewszystkiem zarobkowo. Z drugiej strony literaci o wyższych aspiracjach także niezawsze skłonni są do eksperymentów. Wielu z nich trzyma się wydeptanych ścieżek i szuka na nich prawa do nieśmiertelności, pokładając nadzieję w tem, że potrafią lepiej wykonać to, co przed nimi nieraz już wykonywano. Lecz jest dużo takich, którzy kuszą się o inowacje, sięgające głęboko w samą istotę powieści.

Gdy Arystoteles formułował swą teorję dramatu, oparł ją głównie na jednościach. Mniejsza o to, jak jego poglądy pojmowano i stosowano w zakresie samej poezji dramatycznej. Jest jego niespożytą zasługą, że wskazał drogę ku naczelnej zasadzie twórczości literackiej myśli. Dzieło musi posiadać jedność.

W zastosowaniu do powieści rozumiano tę jedność dotychczas jako jedność akcji, ewentualnie postaci centralnej czy grupy postaci centralnych. Dzisiaj coraz częściej spotykamy się z próbami umyślnego zrezygnowania z tej jedności na rzecz dwóch innych, czasu i miejsca, a przynajmniej położeniu nacisku przy zepchnięciu tamtej na drugi plan lub częściowem od niej odstąpieniu.

Eksperyment Joyce'a.

Pierwszym sławnym eksperymentem angielskim, który stworzył rodzaj szkoły, był wydany w r. 1922 „Ulisses" Irlandczyka Jamesa Joyce. Miejscem jest tu Dublin, czas ograniczony został do jednego dnia. Zato jedność akcji nie istnieje prawie, bo autora nie tylko interesują przeżycia dwóch osób, jakby głównych, ale też przeżycia osób, mających z niemi jakąkolwiek styczność w czasie i przestrzeni. Wszystko przedstawia Joyce z taką drobiazgową szczegółowością, że powieść ma 700 stron druku. Nadto idzie on w kierunku psycho-analizy, wprowadzając naturalnie dużo żywiołu seksualnego. O językowej stronie jego powieści, również bardzo ciekawej, nie chcę tu mówić, ponieważ odbiegłbym od tematu.

„Mrs. Dalloway" Wirginii Woolf.

Między szkołą Joyce'a wyróżnia się Wirginja Woolf, dziedzicznie obciążona talentem literackim, gdyż ojcem jej był Sir Leslie Stephen, znany z szeregu studjów literacko - filozoficznych (a także z głoszonego z emfazą ateizmu), matką, córka wielkiego powieściopisarza wiktorjańskiego Thackeray'a.

Mrs. Woolf napisała w ciągu lat kilkunastu szereg powieści, w których celowo eksperymentuje. Z jednej strony usiłuje wciąż docierać do podświadomości postaci, mieszając ustawicznie ich bieżące wrażenia ze wspomnieniami i najgłębszemi drgnieniami uczuciowemi. Jest to szczególny rodzaj liryki. Z drugiej strony — od czasu przejęcia się metodą Joyce'a — grupuje Mrs. Woolf wypadki wedle czasu, miejsca lub osoby, celowo i ostentacyjnie gwałcąc inne jedności, w danym utworze odrzucone.

Jej powieść „Mrs. Dalloway" obejmuje tyle czasu, ile postać tytułowa spędza między jednym nocnym spoczynkiem a drugim. Dowiadujemy się jednak nietylko, co robiła sama Klaryssa Dalloway, pięćdziesięcioletnia dama z londyńskiego wielkiego świata. Towarzyszymy jej mężowi i znajomym, jej córce i nauczycielce córki, autorka sprowadza także na ten dzień do Londynu bez przekonywającego uzasadnienia jej odrzuconego przed laty konkurenta i przyjaciółkę lat dziecinnych. Wypełniając większą część książki przeżyciami, głównie wewnętrznemi, tych osób, Mrs. Woolf dodaje tragiczny koniec byłego oficera z wojny światowej, będącego urzędnikiem bankowym, który dostaje rozstroju nerwowego i popełnia samobójstwo. Poza czasem i przestrzenią łączy tę „akcję poboczną" z „akcją główną" (o ile można tu wogóle użyć tych określeń) jedynie okoliczność, że lekarz, u którego samobójca zasięgał porady, jest obecny na wieczornem przyjęciu pani Dalloway. Wreszcie mamy tu parę — znowu na zasadzie bliskości w przestrzeni dodanych — scen ulicznych, wypracowanych bardzo drobiazgowo.

Jednem słowem powieść stanowi obraz życia londyńskiego, obejmujący sfery wyższe i niższe, — bez myśli społecznej i bez jednolitej treści. Jedność daje utworowi głównie czas, po części miejsce (Londyn) i osoba Mrs. Dalloway. Mocną stroną jest charakterystyka, operująca najczęściej jednym środkiem, wewnętrznemi monologami, w których odzwierciadlają się przeszłość, pojęcia, charaktery i usposobienia osób.

W wojnie z rzeczywistością.

Przyjrzyjmy się teraz głośniejszemu, a raczej najgłośniejszemu utworowi Wirginji Woolf, zatytułowanemu „Orlando". Zapragnęła tu ona odmalować Anglję w kilku epokach — za Elżbiety, za restauracji Stuartów, za Anny, za Wiktorji i w czasach najnowszych. Odrzuciła tedy jedność czasu. Symbolem tego jest długie życie postaci tytułowej (300 lat z górą do r. 1932, w którym Orlando jeszcze nie jest stara). W pewnej chwili zmienia Orlando płeć — bez żadnego pseudonaukowego uzasadnienia.

Dziwna ta osoba ma aspiracje literackie, stąd sposobność do wprowadzenia epizodycznie sławnych pisarzy poszczególnych epok — jeden, mniej sławny, żyje prawie równie długo, jak Orlando.

Jakby umyślnie uciekając od jedności miejsca, przenosi autorka akcję na czas jakiś do Konstantynopola i w stepy Brussy.

Epoki przeważnie przechodzą jedna w drugą niepostrzeżenie. Charakterystyka ich jest jaskrawa i polega na wyolbrzymianiu pewnych rysów przy pomijaniu i lekceważeniu tych, które Mrs. Woolf uważa za mniej ważne. Anachronizmy stanowią celowo zastosowany środek artystyczny, służący do stworzenia atmosfery nierzeczywistej. Zresztą widać, że sprawiają autorce, jak wogóle nieścisłości różnych rodzajów, dziecinną przyjemność. Jedną z osób, również długowiecznych jest arcyksiążę, później arcyksiężna (Austrja!) z Finster Aarhorn (Alpy!) i Scand-op-Zoom (Holandja!) „na terytorjum rumuńskiem". We wstępie, parodjując uczonych, Mrs. Woolf uroczyście dziękuje mnóstwu osób — od wybitnych literatów, dawno zmarłych lub współczesnych i osób swej rodziny do znanej w Londynie tancerki rosyjskiej — za pomoc i uwagi. Czytamy tam również:

Nakoniec podziękowałabym pewnemu amerykańskiemu dżentelmenowi, który szlachetnie i bezinteresownie poprawiał interpunkcję, botanikę, entomologję, geografję i chronologję moich dzieł poprzednich i, mam nadzieję, nie poskąpi mi swych usług przy obecnej sposobności, tylko zapomniałam jego nazwiska i adresu.

Są to wyraźne kpiny z krytyki, dotykającej rzeczy, dla Wirginji Woolf ubocznych. Sili się ona wciąż na fantastyczne i groteskowe pomysły: Orlando — już jako kobieta — grywa z „rumuńskim arcyksięciem" w **Fly-loo**. W grze tej szło o to, na czyim kawałku cukru prędzej siądzie mucha. Oszukuje przytem — jesteśmy w w. XVIII — i wygrywa od arcyksięcia 17 tysięcy funtów.

Czy Mrs. Woolf jest w pełni oryginalna?

Nastroje oddaje Mrs. Woolf przy pomocy bardzo wyszukanych przenośni i porównań, posługuje się też symboliką. Tak n. p. atmosferę wiktorjańską stwarza przy pomocy widocznych wszędzie i na każdym kroku obrączek ślubnych — słyszymy nadto, że każde małżeństwo ma od piętnaściorga do dwadzieściorga dzieci. Każdy epizod jest ekscentryczny w pomyśle i przyozdobiony ekscentrycznemi szczegółami. Cyganie tureccy, wśród których żyje przez jakiś czas Orlando, mówią w obliczu pięknego widoku: „To jest dobre do jedzenia". Język ich zna tylko takie określenie.

Czy Mrs. Woolf osiągnęła upragnioną oryginalność? Sądzę, że nie. Dwie akcje organicznie z sobą nie połączone, miał już niejeden dramat elżbietański. Przy pomocy osoby bohatera nadawali utworom jedność różni pisarze. Poprzez najrozmaitsze epoki i środowiska prowadzili go autorzy t. z. romansów grozy, tylko ci szukali uzasadnienia czarodziejskiego lub pseudonaukowego. Znaleźli też licznych naśladowców, n. p. Wellsa. Nawet przytoczony dowcip językowy jest nieświadomem echem mizantropicznego pomysłu Swifta, u którego rozumem obdarzone konie są tak prawdomowne, że nie znają określenia na kłamstwo i używają peryfrazy „Mówisz rzecz, której niema".

W pogoni za nieoczekiwanem.

Mrs. Woolf nie znosi efektów prostych, stanów duszy nieskomplikowanych, wogóle dróg bliskich i wiodących wprost do celu. Możnaby podejrzewać, że tem wyżej ceni rozkosz estetyczną, im trudniejszemi środkami jest ona osiągnięta. Lubuje się w tem, co nieoczekiwane i niezwykłe. Pewne szczegóły dodaje poprostu poto, „aby trudniej było zgadnąć". Pisząc, musi rozkoszować się naprzód zakłopotaniem czytelnika. Oto, co mówi o niej jeden z krytyków (Gerald Gould, jeszcze w r. 1924):

Pozwalać sobie na rodzaj humorystycznej pobłażliwości w stosunku do tworów własnej wyobraźni, kazać prostodusznemu czytelnikowi zgadywać związki myślowe, któreby równie dobrze można było mu uczynić jasnemi — to wszystko jest pozytywną krzywdą, wyrządzaną sztuce.

Jest w tem wszystkiem dużo pozy, ale jest i ekscentryczność usposobienia, może dziedziczna — żona Thackeray'a, obdarzywszy go dwiema córkami, spędziła resztę życia w domu obłąkanych. Może stąd wziął się u wnuczki jakiś gram czy miligram nienormalności.

Zalety literackie.

Niepodobna jednak odmówić jej rzetelnych i cennych zalet literackich. Liryzm, rozbrzmiewający w „wewnętrznych monologach" jej osób, w ustępach nastrojowych, nieraz w opisach rzeczy i wypadków powszednich, dyktuje innemu krytykowi, E. M. Forsterowi, który sam jest wybitnym powieściopisarzem, porównanie ze Sternem.

Arcydziełem jest styl Wirginji Woolf. Czuje się, że każde słowo starannie zostało dobrane jako cegiełka do budowy całości zdania, okresu, ustępu. Proza Mrs. Woolf mieni się kolorami tęczy, tętni rytmem, suggestionuje odcieniami znaczenia wyrazów i samą stroną dźwiękową.

Celuje dalej Mrs. Woolf w charakterystyce, docierającej do skrytych głębin podświadomości. Ironję ma niezwykle subtelną. Nigdy nie zapala się i nie daje porwać przedmiotowi, lecz zachowuje względem niego stosunek obojętny, nieco chłodny.

Na razie tkwi Mrs. Woolf w manierze i w tendencji do tego, co po francusku nazywa się **épater le bourgeoi.** Tylko niedość jej oburzać mieszczuchów, stara się ona oburzać estetów, krytyków literackich ludzi o wysokiej kulturze artystycznej. Może jeszcze wzniesie się kiedyś ponad wątpliwej wartości tryumfy tego rodzaju i zdobędzie w historji powieści angielskiej chlubniejszą kartę, niż ta, którą jej rokuje dotychczasowa twórczość.

Władysław Tarnawski

Skonał z dowcipem na ustach

Przed kilku dniami zapadł w Kairze wyrok, skazujący jednego Beduina na dożywotnie ciężkie roboty, dwóch innych na 15 lat ciężkich robót, za morderstwo na osobie angielskiego oficera lotniczego J. A. Howarda.

Zbrodni dokonano pod Heliopolis. Howard wyszedł 22 września b. r. na miasto wraz ze swą narzeczoną, Miss Muriel Tippet. Nagle otoczyło ich czterech Arabów, żądając pieniędzy. Jeden z napastników kierował ku Miss Tippet lufę rewolweru. Wówczas Howard, znakomity bokser, wymierzył mu potężne uderzenie w szczękę, łamiąc ją w dwóch miejscach. Zanim zdołał załatwić się z innymi, padł strzał. Narzeczona lotnika uciekła szukać pomocy i po jakimś czasie wróciła z innym oficerem. Howard leżał na ziemi, trzymając w ręku rewolwer i czapkę, które wyrwał swemu mordercy. Ujrzawszy nadchodzących, rzekł z uśmiechem: „Mam jego rewolwer. Będzie sobie musiał kupić nowy garnitur" i skonał.

—o—

Józef Mączka, poeta - bohater

W tych dniach złożono do grobu w Warszawie na Powązkach, a ziemia rodzinna przyjęła na wieczny spoczynek, szczątki ś. p. Józefa Mączki, poety legjonowego, który wzniósł się nad wszystkich tych, którym danem było dzierżyć lirę i miecz.

Ś. p. Józef Mączka-Strzemień, jest synem ziemi małopolskiej; urodził się bowiem w Załeszanach pod Tarnobrzegiem w 1888 r., studja politechniczne odbywał we Lwowie i tu go zaskoczyła wojna. Zgłasza się do Legionów i w Krakowie zostaje wcielony do II. Brygady, z którą wyrusza na Węgry. W bohaterskim szwadronie ułanów Dunin-Wąsowicza, przechodzi całą kampanję karpacką, znosząc trudy żołnierskie i biorąc chrzest krwi. Awansuje z prostego żołnierza stopniowo, aż do rangi oficerskiej. Po przejściu II Brygady pod Rarańcza, jest z pułkiem w Synowódzku i tam po rozbrojeniu, aresztują go Austrjacy i osadzają w obozie dla internowanych.

Ucieka stąd, przedziera się przez Kordon do Żelaznej Brygady i pod wodzą Generała Józefa Hallera, spełnia tragiczny puhar losów II-giej Brygady. W bitwie pod Kaniowem 13. V. 1918, dostaje się do niewoli niemieckiej, skąd po kilku dniach, wraz z kilku innymi oficerami ucieka. Pierwszym etapem wędrówki jego jest Bogusław na Ukrainie, gdzie wraz z Generałem Hallerem, płk. Michałem Żymierskim i kilku innymi z braci starszyzny legjonowej, zażywa gościnności w domu zacnych państwa Kazimierzostwa Hulanickich, którzy rozbitkom użyczają schronienia i cywilnego przebrania i resztki swej fortuny, oddają na usługi wojska polskiego.

Generał Haller, już tu rozpoczyna swą pracę wojskowo - organizatorską de capo. Ś. p. Józef Mączka, jako jego podwładny i żołnierz całą duszą Polsce oddany, rąk nie opuszcza, pracuje w P. O. W, a po wyjeździe Generała Hallera na Murmań, zbiera resztki żołnierzy Żelaznej Brygady i z nimi udaje się do dywizji generała Żeligowskiego. Prowadzi dalej pracę zaczętą, teraz już na Kubaniu, a we wrześniu 1918 r. wysłany jako emisarjusz do Ekaterynodaru, umiera tu na cholerę, nie doczekawszy powrotu do wolnej ojczyzny. I tak spełniają się jego słowa:

„Kości wam siejem, w płowe pola
izby się żyzną stała rola —
któraście w pocie czół orali,
a zaoraną polewali
strumieniem łez.
— — — — — — — —
A jeśli spełnim liczby miarę,
tedy król snу wam ziści stare!
w radosnej świtów aureoli
ujrzycie waszej kres niewoli
i koniec mąk.

Przykład Józefa Mączki, zadaje kłam twierdzeniu, że „inter arma silent musae". Dusza to bowiem była nawskróś żołnierska, lecz rwała się do pióra, którego — w wolnych od ciężkiej służby w okopach chwilach — z rąk nie wypuszczał. Całem sercem oddany swej ziemi, jej sprawy, za temat główny obiera. („Przysięga" „Młotków", „Wam" „Starych ojców naszych szlakiem — przez krew idziem do wolności"). Wiarę w zmartwychwstanie Polski co wyraża w utworze zatytułowanym „Z Polesia", a poświęconym „cieniom poległych".

„Czekałaś ty ich — ziemio —
w tęsknocie
Łąk nieobeschłych i lasów i wód.
Że przyjdą w krwawej ran swoich
spiekocie,
Spełnić ostatni — życiotwórczy cud!"
— — — — — — — —
„Zwłok ich nie płaczą kurhany, ni groby
Spokojnym blaskiem słoneczna toń lśni,
Bowiem na szlaku ich niema żałoby,
Jeno jest tryumf zmartwychwstałych
dni!..."

I pułkowi swemu składa daninę w utworze: „Hej szlakiem pól. przez krew, przez ból — za nami, z nami w lot! gdzie złoty Róg — z powietrznych dróg — zwycięski wiedzie młot..."

Uczucie synowskie wyśpiewał w wierszu „Matuli mojej", przygotowując ją nato, że z dwu synów, może żaden nie wróci z pola...

W całej jego twórczości przejawia się przeczucie wczesnej śmierci. Oto słowa wyjęte z najpiękniejszego erotyku wojennego, zatytułowanego: „Dziewczyno moja".

— — — — — — — — — —

„Lecz gdy mi przyjdzie w boju lec
Z rozdartą piersią pod sztandary —
Dziewczyno moja — tedy wiedz,
Wrócą się władne Twoje czasy...
U śmierci wrót — u życia miedz —
Przylecą ku mnie wspomnień mary —
I sen się przyśni — sen nasz stary —
U śmierci wrót — u życia miedz! —"

Józef Mączka wniósł do poezji czar młodości, kawalerską fantazję, wielką skromność, umiłowanie wszystkiego co górne, treść ponętną i świeżą i formę poprawną. Język jego jest prosty, jędrny, bez pozy i przesady. Każdemu swemu uczuciu umie dać wyraz w poezji, dostojnie splecionej z słów serdecznych, z dźwięków trąbki żołnierskiej, z szumów pól i lasów rodzinnych.

Piętnaście lat minęło, jak zamknęły się oczy, patrzące z taką wiarą w przyszłość Polski.

Piętnaście lat minęło, jak skostniały na zawsze ręce, piszące serdeczne strofy.

Piętnaście lat minęło, jak przestało bić serce, które tak Polskę ukochało.

Dziś wróciły ziemskie jego szczątki, do ukochanej ziemi, która niech mu lekka będzie. A kiedy na wiosnę zabłyśnie słońce, polskie ptaki zanucą mu pieśń nad grobem a:

„na grobie bujniej wzrosną kwiaty —
polne dzwoneczki i bławaty
i siny bez!"

F. M.

—o—

Afganistan -- „klucz Azji"

Niedawne zamordowanie Nadir-Szacha, władcy Afganistanu, zwróciło znów uwagę całego świata na to niewielkie stosunkowo państwo, wciśnięte między Rosję, Chiny i Persję, a graniczące od południa z Indjami.

Ubogi ten kraj, tkwiący jeszcze w zacofaniu i partykularyźmie, tak charakterystycznym dla ludów i szczepów żyjących u północno - zachodniej granicy Indyj angielskich, — jest już od wieku przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony Rosji i Anglji.

Nie bez racji wyraził się niegdyś pewien dyplomata angielski, — kiedy Disraeli zmuszony był ustąpić skutkiem masakry misji angielskiej w Kabulu, — że „los kolonii angielskich w Azji zawisły jest od tego, co się dzieje w Afganistanie".

Faktycznie bowiem Afganistan stanowi najdogodniejszą bramę wypadową dla groźnego sąsiada z północy: Rosji. Toż już Napoleon, rozważając plan zatakowania Indyj wspólnie z Rosją, wyznaczył jako bazę operacyjną Turkiestan i tereny graniczące z Afganistanem.

Rosja carska próbowała niejednokrotnie położyć swą ciężką łapę na tem państewku, — wszystkie te próby jednak udaremniła Anglja, dzięki zręcznej grze politycznej i umiejętności pozyskania sobie naczelników licznych plemion krajowych.

* * *

Z chwilą powstania Rosji sowieckiej sytuacja zmieniła się tylko o tyle, że zamiast inwazji wojskowej — o której Sowiety nigdy nie myślały, — zawisła nad Afganistanem groźba propagandy bolszewickiej, której celem ostatecznym było utworzenie w Kabulu rządu sowieckiego. W ślad za tem musiałby w niedługim czasie dojść do skutku sojusz z Sowiecką Rosją, a w dalszej konsekwencji zbolszewizowanie części Chin. Jasna rzecz, że tego rodzaju sytuacja groziłaby poważnie stanowisku Anglji w Indjach, dokąd propaganda komunistyczna mogłaby przenikać znacznie łatwiej i skuteczniej.

Rozpoczęła się tedy między Anglją a Sowietami gra o wielką stawkę, o ów „klucz Azji", jak nazywają Afganistan. Gra, w której naprzemian jeden lub drugi partner był górą, — a władcy Afganistanu marjonetkami w ręku zręcznych polityków.

Zdecydowanym rusofilem był Amanulah, który w ostatnich latach swych rządów dążył wyraźnie do zbliżenia z Sowietami. Zgubiło go coś innego: pragnął naśladować Kemala - Paszę, chciał przebudować zupełnie swe państwo nietylko pod względem politycznym, ale i społecznym i religijnym. I w tej walce z Islamem, z religją, przesądami i obyczajami ulec musiał. Opinja całego świata czajami, uświęconemi od wieków uległ, wskazywała wówczas zgodnie na osławioną „Intelligence Service" angielską, która przez swych ajentów przyczyniła się do obalenia Amanulaha. Bądźcobądź — w pierwszej tej partji politycznej, rozegranej między Sowietami a Anglją, ta ostatnia była górą.

* * *

Po paromiesięcznych rządach „nosiciela wody", Habibulaha, wojska rządowe pod dowództwem Nadir - Chana, stryja wygnanego Amanulaha, zdobyły stolicę. Królem obwołany został zwycięzca, który jako Nadir - Szach wstąpił na tron. A „nosiciel wody", usurpator, zawisł na szubienicy, pod oknami pałacu królewskiego.

Nadir - Szach postawił sobie za zadanie pacyfikację kraju. Cofnął wszystkie rozporządzenia, które wywoływały wśród ludności także oburzenie, restytuował zakony i szkoły mahometańskie, przywrócił duchowieństwu i naczelnikom szczepów ich wszystkie dawne przywileje.

W polityce zewnętrznej Nadir - Szach był zwolennikiem szczerego porozumienia, jeśli nie współpracy z Anglją.

Toteż śmierć jego, zaszła w niewyjaśnionych bliżej okolicznościach, jest ciosem dla polityki angielskiej w Azji. Druga stawka przegrana... co przyszłość przyniesie, trudno zgadnąć. Bo Afganistan jest krajem tajemnic i niespodzianek... A wgląd za kulisy tej wielkiej gry, jaka się tam toczy, nie jest łatwy.

(R.)

—o—

Z higjeny rąk

Każdy wie o tem dobrze, że wiele chorób przenosi się właśnie przez brud palców, a zwłaszcza paznogci i nieraz obserwowano ciężkie zakażenia po wyciśnięciu palcami jakiegoś pryszcza lub zdrapaniu strupka. Nierzadko też przy złem utrzymywaniu paznogci, pękają koło niego skórki i tworzą się t. zw. zanogcice, nieraz bolesne, które bywają czasem przyczyną ciężkiej choroby około paznogcia, poczem nieraz, zwłaszcza jeśli pacjent nie zwrócił się odrazu do lekarza, schodzi paznogieć a następny rośnie powoli i jest zwykle zdeformowany, co niekiedy pozostaje już wadą i oszpeceniem na całe życie.

Naturalnie samo przez się rozumie się, że manicure, zwłaszcza w zakładach gdzie temi samemi narzędziami robi się zabiegi u wielu osób, powinno się wykonywać przy skrupulatnej czystości, a więc należy narzędzia gotować, a conajmniej już, opalać nad ogniem lub dezynfekować jakimś płynem antyseptycznym względnie alkoholem. Przy manicure skaleczenia palców nie należą do rzadkości. Manikurzystka stara się wtedy jaknajszybciej zatamować krwawienie zapomocą ałunu, co jest wprost bezsensownem, gdyż właśnie powinno się pozwolić rance wykrwawić, a później ją zajodynować, gdyż jedynie wtedy mamy jakąś pewność, że ewentualne bakterje, które się dostały do ranki, zostały z tejże usunięte prądem krwi, względnie zabite jodyną.

Paznogcie powinny być obcinane niezbyt krótko, ani znowu pielęgnowane zbyt długo, gdyż krótkie nie dają się dobrze oczyszczać, długie zaś, wymagają ciągłego oczyszczania, łatwo kaleczą danego osobnika lub otoczenie i przeszkodzają nieraz w pracy np. przy grze na fortepianie, pisaniu na maszynie i t. p. Obcinać też należy paznogcie małym dzieciom, gdyż drapią się one wywołując sobie przez to ranki lub wrzodzianki, które roznoszą sobie potem po całem ciele.

Paznogcie podlegają rozmaitym samoistnym chorobom, lub też pewne ogólne choroby także w nich się usadawiają. Tak więc paznogcie mogą ulegać cierpieniom tym samym co skóra, np. liszajom, wypryskowi, cierpieniom grzybkowym i t. p. Częściej zmiany w paznogciach, względnie w ich wyglądzie i formie, są wyrazem jakiegoś ogólnego cierpienia. Tak np. u chorych, cierpiących na rozedmę płuc, względnie duszność, końce palców przyjmują kształt pałeczkowaty, a paznogcie odpowiednio zaokrąglają się, przypominając czasem szpony. Przy cierpieniach płucnych, połączonych z kaszlem, (np. często przy gruźlicy), występują na paznogciach podłużne rowki. Wydarzają się one także u ludzi starszych, natomiast poprzeczne rowki zjawiają się w razie zaburzeń w samem łożysku paznogcia, po gorączkowych chorobach, narkozie, wstrząsie nerwowym i t. p.

Bardzo często paznogcie ulegają schorzeniu i stają się kruchemi przy cierpieniach centralnego układu nerwowego, naodwrót zaś miękną przy pewnych cierpieniach kobiecych, bledniсy, niedokrwistości, nadmiernem poceniu się, względnie u osób mających często do czynienia z sodą np. u praczek. Białe plamki na paznogciach, t. zw. „kwitniente", są sprawą zupełnie niewinną i polegają na dostaniu się powietrza pomiędzy komórki paznogcia.

Nierzadko uderzamy się czemś twardem i ciężkiem np. młotkiem w paznogieć, lub też zaciskamy takowy we drzwiach. O ile możności należy wtedy, mimo bólu, zrobić sobie zimny okład i paznogieć dalej przez chwilę uciskać, a to w celu zapobiegnięcia nagromadzenia się krwi pod paznogciem, co z jednej strony jest nieestetyczne i trwa bardzo długo, a z drugiej może nawet wywołać w końcu obumarcie paznogcia i jego zejście. Dlatego też, jeżeli dopuściliśmy do tego, że krew się pod paznogciem zebrała, powinniśmy nie zwlekać, lecz udać się do chirurga, który ewentualnie tę krew wypuści i w ten sposób nieraz paznogieć uratuje.

Widzimy więc z tego wszystkiego że pielęgnowanie paznogci i utrzymywane ich w czystym i estetycznym stanie, jest kwestją dużego znaczenia. Powinno się przy myciu rąk odczyszczać zawsze panogcie niezbyt twardą szczoteczką do rąk i wodą ciepłą z mydłem, usuwać końcem pilniczka brud z pod paznogcia, względnie odsuwać skórkę narastającą.

Narzędzia, nawet używane tylko przez jedną osobę, powinny być zawsze przed użyciem zdezynfekowane, choćby nawet przez wytarcie ich zwykłym spirytusem. W razie gdy palec koło paznogcia zaczyna czerwienieć i puchnąć, nie należy bawić się w żadne domowe leczenie, lecz udać się jaknajprędzej do lekarza, paznogieć bowiem jak mówiliśmy wyżej może ulec zropieniu i obumarciu.

Dr. A. Klęsk.

Nauczmy się słuchać

Każda nowa forma sztuki, aby w pełni oddziaływać na psychikę człowieka, wymaga szkolenia tego zmysłu, który ją percypuje. Klasyczny podział na sztuki wzrokowe i słuchowe nie wiele stracił ze swej aktualności, mimo iż nowatorskie prądy pomieszały nieco dawne wyraźne granice. Czyż bowiem człowiek, nie umiejący patrzeć na malarskie dzieło sztuki może z oglądania go odnieść to samo zadowolenie estetyczn, jak ten, który swój smak wykształcił? Zaprowadźmy pierwszego lepszego przechodnia z ulicy na jakiś dobry koncert do Filharmonji. Będzie prawdopodobnie początkowo oszołomiony potokami światła, wystawnością toalet, gwarem tłumu i innemi rzeczami najzupełniej ubocznemi, ale w chwili gdy zacznie się koncert — opanuje go śmiertelna nuda, która będzie wzrastać proporcjonalnie do zachwytu melomanów i znawców. Brak bowiem zrozumienia dla muzyki jest tylko brakiem wyszkolonego zainteresowania.

Wiemy czem jest sztuka kinowa dla dzisiejszej generacji. Należy przypuszczać, że tylko nieliczni zgodziliby się bez protestu na pozbawienie ich możliwości uczestniczenia w seansach kinowych. Wydaje się nam to proste i naturalne. Kino — to przecież rzecz dobra, zabawna, czasem wzruszająca do głębi a czasem ot taka rozrywkowa. Już nie trzeba uzasadniać, że dobrze jest kiedyś kupić bilet i pójść do kinoteatru. Można to robić w stosunku do tego czy innego obrazu, ale w zasadzie?

Mimo, iż dzisiejszej generacji nie trzeba uzasadniać potrzeby chodzenia do kina, gdyż już oswoiła się z tym wynalazkiem i nauczyła się z pożytkiem korzystać z niego jako z nowej formy sztuki, żyją jeszcze ludzie starzy, którzy kina nie znoszą. Nie dlatego, by sądili, że w kinie nie można ujrzeć czegoś wartościowego. Uznając treść rozpowszechnianą przez wynalazek i rozumiejąc ją nie zdołali się przyzwyczaić do samej formy wynalazku i do pewnych koniecznych korektur, aby treść wypadła „fotogenicznie". Im obrazy na ekranie ciągle „migają", napisy są zrobione jakoś „bez polotu", wogóle „zwarjowane tempo" przeszkadza skupieniu się, a przepychający się między krzesłami spóźniony widz naraża natychmiast na przerwanie „wątku"...

Brak wprawy w patrzeniu na ekran uniemożliwia widzowi artystyczne przeżywanie filmu. Kto nie nauczył się patrzeć na film, kto nie nauczył się widzieć poza czarno-białą płaszczyzną fotografji całej tęczowej kolorowości prawdziwego życia, ten nigdy nie zrozumie i nie odczuje wielkiej potęgi artystycznej kinoteatru.

Zdaje się jednak, że istnieje pewna kolejność w szkoleniu naszych zmysłów.

Wzrok doszedł prędzej do szczytu doskonałości. Prędzej też naogół rozumiemy i odczuwamy wrażenia dostarczane nam przy pomocy oczu. Wielkie powodzenie niemego filmu oparte było właśnie na większem zgraniu wzroku z centrami mózgu. Nawet dzieci rozumieją lepiej tekst czytany z dobremi ilustracjami, niż to samo podane im w formie suchego wykładu. Głos jeszcze ciągle uderza w próżnię...

*

Kino, które dłuższy czas atakowało tylko zmysł wzroku, przez wynalazek dźwiękowców wyzbyło się już zwężającej oddziaływanie artystyczne jednostronności. Do pełni wrażeń brakuje tylko zastąpienia szarzyzny ekranu paletą barw.

A radjo?

„Umiemy" już podstawiać wyobraźnią pod różne konwencjonalizmy kina właściwą treść do tego stopnia, że nic nam nie przeszkadza w odbieraniu pełni wrażeń. Poprostu umiemy kino, a nie nauczyliśmy się jeszcze radja. Głos drgający w słuchawkach u niewielu tylko wywołuje działanie wyobraźni, która powinna dopełniać i uzupełniać odbierane wrażenia. Wyobraznia jest lotna. Wystarczy ją tylko raz pobudzić do działania, a zjawiać się już będzie później sama. Będzie snuć na kanwie wrażeń słuchowych czarowne obrazy, których nie skrzywi fałszywa dekoracja, nie zatrze brudna fotografja, nie rozprószy natrętny szept sąsiada i nie zmaże odór źle przewietrzonej sali.

Trzeba się tylko nauczyć słuchać.

Narzekanie na złe programy radjowe jest tylko w połowie słuszne. W siedmiu miastach Polski pracuje przez cały rok falanga ludzi, aby dać radjosłuchaczom treść możliwie wszechstronną i najlepszą. Dwa razy do roku zmienia się zasadniczo układ programu, uwzględniając nowe doświadczenia i nowe potrzeby. Cokolwiek by jednak uczyniono w zakresie polepszenia programu, nie będzie on lepszy bez współpracy słuchaczy. Program radjowy będzie zawsze nudny i martwy, gdy nie znajdzie oddźwięku w wyobraźni mas, podobnie jak martwym będzie obraz rzeźba, czy rysunek nie oglądany, względnie oglądany bez chęci zrozumienia i odczucia.

Radjo jest wielkim aparatem iluzji. Przemawia przez słuch do wyobraźni. Apeluje przez dźwięk do rozumu, przez to do uczucia. Trzeba się poddać działaniu tych elementów, jak dziecko poddaje się urokowi słów bajki, na własną rękę kombinując obrazy. Dlatego dziecko głęboko przeżywa i znajprostszej bajki odnosi najwięcej pożytku.

Starsi są sceptyczni i chłodni. Mimochodem otwierają głośnik wymagając od zimnego instrumentu pracy, którą sami powinni wykonać. Pracy nie ciężkiej: puszczenia fantazji w takt impulsów płynących z dalekiego studja, ale pracy tej najlepszy i najdroższy głośnik nie wykona.

F. P.

Słuchajmy radja na detektor

Radjosłuchacz, posiadający dobry, nowoczesny odbiornik, wie z doświadczenia, iż niezakłócony odbiór można mieć tylko słuchając stacji lokalnej. Nic dziwnego: poza niewielkiem pasmem długich fal, na których między innemi nadaje Raszyn, posiada radjofonja europejska pasmo fal pomiędzy 200—600 m. Na tem pasmie może nadawać bez wzajemnego przeszkadzania 105 stacyj. Tymczasem oficjalny spis Unji Radjowej, wykazuje ich przeszło 200. Plan praski z roku 1928 przewidywał możność pracy małych stacyjek na wspólnej fali, licząc, iż przeznaczeniem ich będzie praca o charakterze czysto lokalnym i to przeważnie dla użytku detektorowiczów. Dzisiaj zagranicą warunki zmieniły się zupełnie: na detektor słucha nie więcej, niż 10 proc. radjosłuchaczów, pozostali zaś posiadają mniej lub więcej czułe odbiorniki, przejmujące również małe stacje. Dzięki temu przy słuchaniu silnych stacyj występują zawsze mniejsze, wtłoczone w pasmo fal, wywołujące już to charakterystyczny gwizd, już to występujące, jako przykre tło, psujące odbiór. Z angielskich stacyj słyszymy jako tako, szkocką, „Midland - Regional", natomiast Regional - National", przeszkadza jakaś nieznana rosyjska. „Nordhern-Regional" przeszkadza „Iwanowo-Woznisiensk", London-Regional" — kłóci się w eterze z „Tiraspolem". „London-Regional" — „przygwizduje" harmonicznie stacja Wiednia, Rzymowi przeszkadza jakaś stacja rosyjska Berlinowi — Moskwa i Rabat.

Równocześnie czytamy, że Norwegja pragnie doprowadzić ogólną ilość swoich stacyj do 43. Co tydzień dowiadujemy się o nowych olbrzymach puszczonych w ruch, znajdujących się w budowie, lub projektowanych. Wszystkie państwa prześcigają się w powiększeniu tego chaosu w eterze, myśląc wyłącznie o swoich słuchaczach i nie dbając o zagranicznych. Już doszliśmy do paradoksalnych wyników, — a mianowicie, im lepszy mamy odbiornik — tem gorszy odbiór.

Mieszkańcy Insbruku nie mogą słuchać własnych stacyj na aparat lampowy, bo im przeszkadza na tej fali pracująca niemiecka stacja. Jako ostateczny ratunek pozostaje detektor, nieczuły na wszelkie zaburzenia i posiadający mały zasięg.

Narazie zatem słuchajmy radja na detektor.

Największa mistyfikacja historyczna

Głośny dziś w całej Europie skandal zręcznego zeskamotowania z kościoła w Fécamp we Francji cennych witraży z XIII wieku i podstawienia na ich miejsce doskonałych falsyfikatów, — przypomina inną, bardziej jeszcze skandaliczną aferę, która przed trzydziestu laty znalazła — również we Francji — swój żałosno - komiczny epilog.

W roku 1896 pojawiła się w dziennikach paryskich krótka notatka o znalezieniu na Krymie bezcennych wykopalisk: **naszyjnika i złotej tjary,** należących do mitycznego władcy **Saitafernesa.**

Kto to był ów Saitafernes, nikt nie wiedział. Napróżno wertowali uczeni encyklopedje i słowniki, — nazwiska tego nigdzie nie znajdowano... Ulitował się nad ignorancją ludzką niejako **Salomon Reinach,** uchodzący za erudytę w sprawach historji starożytnej. W obszernym artykule wyjaśnił, że ów Saitafernes był królem Scytów, władcą krwawym i okrutnym... Że zdobył miasto Olbios, u ujścia Borystenu, a Senat i mieszkańcy tego miasta ofiarowali mu, prócz wysokiego okupu, właśnie ową złotą tjarę, prawdziwe arcydzieło sztuki złotniczej.

„Roma locuta"!... Opierając się na opinji takiego autorytetu, muzeum narodowe w Luwrze, — na wniosek H. de Villefosse'a i **Teodora Reinacha,** — zakupiło ową tjarę do swych zbiorów za okrągłą sumę 250 tysięcy franków! — Francuzi tryumfowali, że nie dali się uprzedzić innym narodom, że ten wspaniały zabytek sztuki złotniczej zostaje w Paryżu.

* * *

Kiedy cały Paryż spieszył do Luwru, by sycić oczy widokiem tjary Saitafernesa, — najwybitniejsi uczeni uczeni i archeologowie Berlina, Londynu, Petersburga wyrażali się bardzo sceptycznie o tym nabytku, podejrzywając odrazu jakieś bardzo zręczne, a bezczelne fałsz erstwo. Zwracano uwagę, że tjara nie wykazuje prawdziwych śladów zużycia ani załamań i zgięć, nieuniknionych w ciągu długich wieków. Ale uwagi te archeologowie francuscy, z T. Reinachem na czele, zbywali pogardliwem milczeniem, tłómacząc je niską zawiścią i zazdrością...

Tjara stała w Luwrze na honorowem miejscu, określana jako pierwszorzędny zabytek historyczny i arcydzieło sztuki złotniczej.

Aż w roku 1903 — równo trzydzieści lat temu, — bomba pękła! Aresztowano w Paryżu niejakiego Ellinę, artystę - malarza z bohemy, za podrabianie płócien żyjących i zmarłych mistrzów. Ellina, typowy fanfaron, przyznał się do zarzucanych mu czynów, — co więcej, oświadczył zdumionemu sędziemu śledczemu, że tjara Saitafernesa jest również jego dziełem. Wskazał przytem niejakiego **Lifschütza,** rosyjskiego jubilera osiadłego w Paryżu, na którego zlecenie tjarę tę wykonał.

Idąc po nitce do kłębka policja paryska przesłuchała owego Lifschütza, który z całą otwartością przyznał, że faktycznie przed sześciu laty zamówił ową tjarę, dla jednego ze swych klijentów, dziś już nieżyjącego. Dodał jednak, że tjarę sfabrykował nie ów Ellina, lecz złotnik odeski, **Izrael Salomonowicz Rukomowski.**

Ten ostatni, na zapytanie telegraficzne, potwierdził w całej pełni zeznania Lifschütaz, oświadczając nawet gotowość przyjazdu do Paryża, o ile zajdzie tego potrzeba.

* * *

Próbowano przez jakiś czas tuszować jeszcze całą tę aferę. Ostatecznie jednak trzeba było ustąpić wobec niezaprzeczonych, niezbitych faktów. Rukomowski po przyjeździe do Paryża opowiedział szczegółowo, w jaki sposób sfabrykował to arcydzieło, po sumiennych przygotowaniach i studjach. Za całą robotę otrzymał 2.500 rubli, co przedstawiało wartość około 7.500 franków. Doliczywszy do tego wartość zużytego złota, jakieś 5.000 franków, — pokazuje się, że tjara Sajtafernesa przyniosła pomysłowym fałszerzom zgóra 200 tysięcy franków zarobku!

Rukomowski, który rzeczywiście był doskonałym i zręcznym złotnikiem, nie wrócił już do Odessy. Osiedlił się w Paryżu... i zapewne niejedno jeszcze „dzieło sztuki starożytnej" wyszło z jego pracowni, by za pośrednictwem Lifschütza czy innego współwyznawcy przejść w ręce kolekcjonerów europejskich czy amerykańskich...

A słynna tjara Saitafernesa opuściła swą wspaniałą gablotkę w muzeum Luwru, by spocząć na zawsze w Muzeum sztuk dekoracyjnych w Paryżu, jako „klasyczna kopja sztuki starożytnej..."

Żyła tylko jeszcze przez długi czas w piosenkach bulwarowych, stanowiąc niewyczerpany temat dowcipów i żartów.

(r.)

Przysłowia różnych narodów

Oto garść przysłowi ze wszystkich stron świata — czytelnik łatwo przypomni sobie nieraz odpowiednie polskie na dowód, że mądrość narodów najczęściej powtarza tylko te same myśli w rozmaitej formie. W innych wypadkach znowu stwierdzi zgodność przysłowia z charakterem narodu, który je wydał. —

Kto plotkuje przed Tobą, będzie plotkował o Tobie (Hiszpanja).

Przeciętność to wspinanie się na kretowiska bez pocenia się przy tem (Nowegja).

Dobrze odpowiada ten, kto wie, gdzie przestać (Włochy).

Długą musi wziąć łyżkę, kto ma obiadować z djabłem.

Domy odwokatów budowane są na głowach głupców (Anglja).

Konia chwal po miesiącu, kobietę po roku (Czechy).

Jeżeli ci wszyscy mówią, żeś pijany, idź do łóżka, choć wiesz, że jesteś całkiem trzeźwy (Serbja).

Niewiele wie ten, kto dużo przeżył; wiele wie ten, kto dużo podróżował.

Im grubsza zasłona, tem mniej warta podniesienia.

Jeżeli nieprzyjaciel jest mrówką, uważaj go za słonia.

Kto mówi prawdę, tego wypędzają z dziewięciu miast.

Tysiąc przyjaciół niewiele znaczy. Jeden nieprzyjaciel wiele znaczy.

Człowiek, który czeka na pocieszenie w nieszczęściu, musi być głuchy, ślepy i ciemny (Turcja).

W domu mrówki rosa jest potopem (Persja).

Całuj rękę której nie możesz obciąć (Afganistan).

Książka jest, jak ogród, noszony w kieszeni (Arabja).

Jeżeli kłaniasz się, kłaniaj się nisko.

Jeżeli masz dwa kawałki chleba, sprzedaj jeden i kup sobie lilję.

Ci, którzy się nie uczą, są tylko bydłem w ludzkich szatach.

Pożyczać marnotrawcy to rzucać na psa przybłędę kułkami z mięsa.

Wino nie upija człowieka, on się sam upija.

Pytaj się o cenę w trzech sklepach.

Człowiek, który uważa za rzecz nieprzyjemną uśmiechać się, niech nie otwiera sklepu. (Chiny).

Każdy wie, którędy w jego domu zacieka (Indje zachodnie).